

Koniec świata

(fragment powieści)

Agda Bavi Pain

– Takie niebieskie – przed drzwiami Robi przypomina sobie głos przechodzącego mutację Cyganka, którego spytał o drogę. Na piątym piętrze, takie niebieskie drzwi. Schody dały mu popalić. Szyb windy jest otwarty i całkiem pusty, czyli nie ma w nim tego, co powinno być: windy, stalowych lin i przeciwwagi. Ale zamiast nich, po sam wierzch, zalegają odpadki i unikatowa zawartość jelita grubego w proszku. Niebieskie drzwi nie mają klamki. Ani zamka. Robi zapuka: tak wypada. Umówionym sygnałem w rytmie piłkarskich tam-tamów. Jeszcze raz, mocniej.

Zza drzwi słychać dość głośną wrzawę. Robi uważnie nasłuchuje. Po chwili otwiera mu na boczek czesany Cyganek z odstającymi uszami. Taki sam, jak ten, którego pytał o drogę. Za nim stoi kundel, który kręci ogonem i pokazuje Robiemu język.

– Dziulusz jest w domu? – Robi zaciąga po cygańsku.

– Jest – odpowiada mu chłopiec w tym samym języku. – Wejdz.

Wprowadza go do salonu i nachyla się nad osobą siedzącą na środku pokoju w masywnym, muzealnym fotelu.

Robi dopiero po kilku sekundach przyzwyczaja się do mroku zadymionego pomieszczenia, w którym funkcję światła słońca, skrytego za ciężkimi, grubymi zasłonami, pełni migoczący ekran telewizora. W nozdrza uderza go wilgotne, przesycone też innymi cieciami powietrze. Ciemność i wilgoć – to w nich rodzi się życie i wywołuje się filmy. Niezliczona ilość ludzi siedzi, stoi albo wyleguje się na kanapach i podłodze. To tu, to tam żar papierosa zaznacza położenie czyjejś głowy. Wszyscy z zapartym tchem i niestrząśniętym popiołem oglądają film na wideo: Terrence Hill i Henry Fonda. Robi go pamięta. Nazywam się Nobody. Dobry film.

Z letargu wyrywa go dopiero piekący plaskacz w policzek i następujące po nim kilka tępych ciosów w odsłonięty po pierwszym uderzeniu kark. Nikt na to nie zwraca uwagi. Stary Dziulusz, głowa rodziny serdecznie wita gości. A Robi, który nie zdążył zauważyć, kiedy ten wstał z fotela, inkasuje kolejną porcję pieszczot.

– Czemu nie dałeś znaków życia, Béla, wiesz, że tak się nie robi! Khames te chudel? Ty chujku jeden, chcesz dostać w mordę?!

I znów są razem: obejmują się. Dziulusz czochra Robiego jak małego chłopca. Nie przeszkadza mu w tym nawet jego brzuch w siatkowym podkoszulku. Przechyla się nad przeszkodą, wyginając ciało w pałąk przypominający cnotliwy uśmiech.

– Patrzcie – Dziulusz kręci głową. – Różę mi przyniósł, jełop! Koniec świata! Wkłada czerwony goździk do jednego z kufla stojących na stole.

– Wypuścili mnie.

– Przeca widzę, nie? Czas najwyższy. Sto lat cię nie widziałem! – Przyjacielsko popycha Robiego. – Chodź do kuchni, tam sobie pogadamy.

– Arra! – Wykrzykuje w kuchni łysa głowa cygańskiej rodziny. Oczy ma schowane za polaryzacyjnymi okularami przeciwsłonecznymi, pod nosem zwisający wąs morsa, na policzkach odstające kilometrowe pekaesy.

– Dża het! – Zgania kobiety z krzesel. – Rużena, zrób nam kawę! – Rozkazuje. – Ivet, przynieś butelkę i polej!

Dziulusz sadza gościa przy stole. Za pękniętym oknem nieśmiało wznosi się usypany ze śmieci pagórek.

– Przyniosłem wam szamę.

Robi, jak magik, wyciąga zewsząd próbki penitencjarnej stawy, którą rozdaje kobietom i dzieciom. Bułki drugiej świeżości, miód i dżem w malutkich, plastikowych pojemniczkach.

W drzwiach stoi dwóch chłopców. Ich obsiane nieregularnymi, sinymi plamami ramiona noszą ślady eksperymentów z igłą i tuszem. Mniejszy z nich miarowo oddycha przez przyklejony do twarzy, pokryty rosą woreczek, do którego ciekną mu smarki. Uśmiecha się głupawo i ostrymi szparkami oczu kroi stojący w pomieszczeniu dym.

– Kto to jest? – Śmiejąc się, pyta starszego brata. Dopala ofiarowanego mu peta.

– Nie pamiętasz go?

– Nie-e.

– To jest Béjla – wyjaśnia rozebrane do pasa rodzeństwo.

– Béjla? – Wzdycha Cyganiątko. Wpycha ponownie nos do woreczka. Z tym samym nieobecny uśmiechem. Przechodząca obok kobieta wlepia mu mocnego kuksańca.

– Ile razy ci mówiłam, durniu, że masz nie palić, jak ćpasz? – Kobieta szorstkim, suchotniczym jękiem strofuje uciekające potomstwo. – Chcesz skończyć jak Jenci?!

Jenci siedzi w kącie kuchni, patrzy zezem, a uśmiech dziurawi jego ogniem bieloną twarz. Po kilku wstępnych toastach i pierwszym siorbnięciu wystudzonej kawy w końcu rozpętuje się dyskusja.

– To ten, no to dawaj, mów, jak było, tylko dokładnie! – Dziulusz zachęca Robiego i nachyla się nad stołem, jakby chciał go lepiej widzieć i słyszeć.

Robi kręci głową:

– A co ja mam gadać, sam, chłopie, wiesz, jak jest, nic się nie zmieniło. No, żarcie jest lepsze. – Robi milknie.

Liczna cygańska dynastia szczelnie wypełnia małą kuchnię. Siedzą cicho, głowa przy głowie i nastawiają uszu. Zwłaszcza ci młodszy – ogoleni na łyso, odwyszawieni. Tylko starsza Cyganka w ciąży, z wytatuowanym na twarzy wielkim pieprzykiem, co rusz podrzuca mężczyznom coś na ząb. Czy to kawałki gotowanego mięsa, czy to talerz chleba ze smalcem. W nagrodę otrzymuje od hojnego Dziulusza szklankę destylatu.

– Masz ognia? – Dziulusz zwraca się do Robiego.

Robi wyciąga z kieszeni zapalniczkę.

– No, tym se w zębach nie pogrzebię – Dziulusz macha ręką i wkłada do ust papierosa.

– To jedyny sprzęt, jaki mi został. – Robi podaje Dziuluszowi zapalniczkę w kształcie spluwy. Głaszcze lufę, z której bucha niebieski płomycek. Wypija kieliszek wódki. Dziulusz natychmiast mu dolewa.

– Pro sási póro! – Wznosi toast.

– Egészségére – odpowiada Robi. Po chwili odburkuje: – Luczkay na mnie czekał na dworcu.

– Ten buc, ten debil? Tępy chuj? Jak na niego mówiłeś? Much?

– Eunuch.

– Eumuch! Na kham af tut – eumuch!

– Ponoć go wyrzucili i teraz chce się odbić od dna. Żeby go wzięli z powrotem.

– Tylko żeby tam nie ugrzązł.

– Później spotkałem Hamburgera w Demosie. Spytałem się, co słyhać u Krivego i Lopeza.

Stary Dziulusz zakłada nogę na nogę, żółtymi paznokciami drapie się w podszwę stopy.

– No, no. Ci są teraz dziani, ciągle mają hajs! To są teraz biznesmeny. Pokurowali se sklepy na Leninovej. Głupcy, gdyby tak okazali mi trochę szacunku tej nocy. Krivý ma butik z damską koncepcją, najczęściej siedzi w tej knajpie, co jest zaraz obok Ryby, co niżej jest Karpáno, gdzie Žužika robiła za barmankę. Zaczyna się na p – Pólo czy jakoś tak.

Kaszle chraplawo i gasi papierosa.

– Lopéz ma knajpy i bary, w jednym byłem – na tej ulicy, jakbyś szedł do Piwiarni Miejskiej – *Harlequin Café!* – Ciagnie Dziulusz. – Tevareso, że te +

poczciwi biznesmeni piorą brudne pieniądze między sobą! Trafiło im się jak ślepej kurze ziarno. Ale coś chyba w sobie mają, widziałem wiele ślepych kur, co na ziarno nie trafiły. Ten, najpierw se zarobili na interesach z czerwoną i białą rtęcią. Buce!

– Rtęcią?

– No.

Robi chichocze i w zamyśleniu dodaje:

– Hmm. Ja kiedyś robiłem wyłącznie z tą czerwoną, najlepszej jakości – Red Mercury. Z białą się nie opłacało robić interesów, ile razy się przejechałem, pamiętasz? No, mówię ci. Wprawdzie zysk mniejszy, ale ryzyko też, już tak mam. Tam było mnóstwo tego poniżej ceny, ale starczyło kilka miligramów Red Mercury i już w grę wchodził wielki hajs. Ja już liczyłem, ile aut sobie kupię za pośredniczenie w handlu, ile domów, komplet sprzętu dla całej kapeli, wszystko, co wydali Iron Maiden, i jeszcze najlepszym przyjaciołom obiecałem dać po pięć milionów.

– Przysz mówię, że to buce. Wychujali całe miasto, że się da na tym zarobić!

– Nie wiem, może oni na tym naprawdę zarobili. I tylko zwykłe szczeniaki, pojebane geniusze roznieśli po mieście trefny towar. Przysz ja też na to polecałem, ile mogłem wtedy mieć lat – dzieś z dziewiętnaście.

Robi się zamyśla.

– Trzeba było widzieć, jak Hamburger w Demosie napaarzał jakiś gnojzków! Dziulusz gwałtownie wydycha powietrze i odchrząkuje.

– Tak to działa: ludzie to nie drzewa, jeden bez drugiego nie może żyć. Drzewom potrzebna jest tylko woda. Jak jest ich dużo na jednym miejscu, to żadne porządnie nie wyrośnie. Ale jak jest tylko jedno – wyrośnie z niego porządne buczysko. I nie ma kogo przerosnąć. A tego właśnie ludziom trzeba.

– Muszę do sracza.

Robi wchodzi do brudnej łazienki i wypróżnia się do umywalki. Półki uginają się od drogich kosmetyków. Otwiera szafkę z przyborami do golenia.

– Ej, widzę, że moje rzeczy wciąż tu są! – krzyczy zza półotwartych drzwi do Dziulusza.

– Ale nie, że się znów wyszczasz do umywalki, słyszysz, Béla?!

Zgarnia żyletki, piankę i resztę rzeczy na jedno miejsce. Uśmiecha się do zatkniętego w róg lustra zdjęcia boksującego Belmondo. Pomięte dołącza do reszty. W kuchni wysypuje wszystkie rzeczy na stół.

– Biorę to ze sobą.

Robi wyciąga z kieszeni pustą reklamówkę i wrzuca do niej wszystkie niepotrzebne kosmetyki, jeden po drugim.

– A Lopez znów jest z tą Noriką, teraz, człowieku, stoi przed Slovanem! Kurwa – przodowniczka. Zawsze musiała być o cyce w przód, elöl, picsába!

W młodości ją ktoś musiał tylko bić po łbie i jebać, żeby wiedziała, co lepsze. Jajde jó! A wyście się nie rozstali w zgodzie, co nie?

– No, jakoś się nam w końcu naprawiły stosunki.

– Miałeś z nią stosunek?! Co ty gadasz, Béla!?

Robi stoi na balkonie i rozgląda się po cygańskim getcie. Ściany bloków są z góry na dół pomazane błyskotliwymi wulgaryzmami. Na chodnikach wala ją się wraki samochodów. Z każdej strony słuchać albo głośnie dźwięki cymbałków, albo bardziej współczesny rompop – muzykę z targowiska. Dym, który podstępem zmieszał się z powietrzem, wciera w kudły podskakujących, nieobjętychobowiązkieszkolnym dzieci, coś na kształt wolności. Młode dziewczynie tańczą wokół przewróconych kontenerów, na łysawym trawniku chłopcy ćwiczą kung-fu. Najmniejsze Cyganiątka, całkiem gołe, puszczają na dychawicznym wietrze szeleszczące, plastikowe siatki na sznurkach zamiast latawców.

– Sandokán, chas mro kár – po osiedlu niesie się zaadoptowana przyśpiewka z powtarzanego właśnie serialu. I jeszcze: Skocz mi na fleta i zagraj Hamleta!

– I my tu mamy żyć? – Uduchowiony proces myślowy Robiego przerywa dobiegający z salonu głos Dziulusza. – Wśród Cyganów? Przysz to Indiany są. A co powiedziałaś Luczkawowi?

– Że babie lato jest najpiękniejsze w Koszycach.

Robi mruży oczy przed ostrym słońcem.

– The jesokéro ñilaj? Przysz jasne, nie?! – Potwierdza Dziulusz. Trzyma w ręce pilota. Stara się przejąć nad nim władzę. – W lecie słońce jest jeszcze młode. Pokazuje światu swoją nieprzemącną chęć życia, grzeje. Ale już wie, że to długo nie potrwa. Samo musi się zmierzyć ze swoim końcem. Przyjdą przymrozki i za chwilę się zestarzeje. Straci swoją młodzieńczą siłę. Ale mimo to wciąż jeszcze grzeje, stara się udowodnić całemu światu, że jeszcze się trzyma. Ze wszystkich sił stara się grzać, ogrzewać chłodną ziemię. Kipi babim latem. Zdaje sobie sprawę, że za chwilę przyjdzie zima i wtedy kipnie. Robi ziewa, przeciąga się jak kocur. Dziulusz odpala od peta kolejnego papierosa.

– Jesień chyba będzie gorąca. Ktoś się spoci. ●

Z języka słowackiego przełożyli: Mateusz Trzeciak i Olga Stawińska